Bezpłatny dodatek do Nr 349 „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 38 Kraków, niedziela, dnia 20 grudnia 1936 r.

ZYGMUNT LASOCKI

Społeczeństwo polskie w czasie wielkiej wojny

w świetle pamiętnika dra Hupki :III

O odebraniu Krakowa Austriakom w dniu 31 października 1918 nie ma wzmianki w pamiętniku. A był to przecież pierwszy czyn wydalenia z ziem polskich zaborców.

O powstaniu Polskiej Komisji Likwidacyjnej wspomina pamiętnik pod datą 1 listopada: „W Krakowie utworzyła się z socjalistów, ludowców i endeków, Polska Komisja Likwidacyjna. Prezydium Komisji tj. Daszyński, Witos i Skarbek, ogłosiło się rządem. Wysłano dużo telegramów do wszystkich potencyj i zarządziło wstrzymanie wszelkiego wywozu... Ten rząd, zwany P. K. L. jest najzupełniej samozwańczym, bo o zgodę rządu i Regencji w Warszawie nawet nie pytano".

Dużo w tych kilku zdaniach nieścisłości o tym pierwszym narodowym rządzie polskim w Galicji.

W rzeczywistości w obradach parlamentarzystów polskich, które odbyły się w Krakowie w dniu 28 października 1918 z okazji utworzenia PKL, brali udział delegaci rządu warszawskiego, minister spraw zewnętrznych, Głąbiński, i minister rolnictwa, Grabski. Przewodniczący zebrania Witos, oświadczył: „Rząd, jaki powstał w Warszawie, uważamy za polski rząd narodowy, ale nim objęnie on w zupełności władzę nad całą Polską, musimy mu przyjść z pomocą przy zorganizowaniu kraju". Od pierwszej zatem chwili swojego istnienia uważała się PKL. za organ rządu polskiego w Warszawie. Bezpośrednie sprawowanie władzy przez rząd znajdujący się w stolicy okupowanej jeszcze przez Niemców, było oczywiście fizycznie niemożliwe. Przedstawiciele Galicji uważali, że najwyższy czas objąć władzę w kraju, gdyż obawiano się, że Austriacy wywiozą cały materiał wojenny i mnóstwo żywności, nadto przypuszczano — jak się okazało słusznie — iż oddadzą władzę we wschodniej Galicji Ukraińcom. Zdecydowano się więc na szybkie działanie. To też cała zachodnia Galicja znalazła się pod władzą polską, a nawet odebrano w walce Przemyśl Ukraińcom, zanim Warszawa wywiozła, na ich żądanie, okupacyjne wojska niemieckie do ich ojczyzny. Do prezydium PKL wybrano nie tylko przedstawicieli ludowców, narodowych demokratów i socjalistów, ale także dra Tertila, reprezentanta demokratów. Do samej Komisji wybrano także przedstawicieli mniejszych stronnictw, a z konserwatystów przede wszystkim Jerzego Baworowskiego, którego chwalebną rolę w dniu 16 maja 1917 pamiętano, tudzież Götza. Większego udziału w rządach koserwatyści oczywiście nie otrzymali. Leader ich Jaworski dobrze zrozumiał, że, po klęsce ich polityki austro-polskiej, rola konserwatystów była skończona. P. Hupka nie mógł się jednak z tym pogodzić — i boczył się na PKL. Do urażonych uczuć partyjnych, przyłączyły się i urazy osobiste. Jednym z powodów niezadowolenia p. Hupki była następująca sprawa, którą zapisuje w swoim pamiętniku pod datą 10 listopada 1918: „Dano mi znać z Kolbuszowej, że dr Czarny z deputacją szumowin tutejszej inteligencji... pojechał ze skargą na starostę do PKL. do Krakowa. Chce sam objąć władzę. Ponieważ w PKL pokrewnych dr Czarnemu nie brakuje, więc sprawa przedstawia się groźnie. Dlatego jadę zaraz do Krakowa, aby akcję Czarnego sparaliżować. Ponieważ na czele administracji zach. Galicji stoi z ramienia PKL były starosta i poseł p. Lasocki, który mimo radykalnych gestów jest rozsądnym człowiekiem, więc mogę mieć trochę nadziei, że mnie da wiarę, a nie dr Czarnemu".

Z wizyty u mnie nie był p. Hupka zadowolony, nadto miał podróż powrotną bardzo uciążliwą. Powróciwszy więc do Niwisk, notuje w pamiętniku: „Komisja Likwidacyjna Krakowska, która „jure caduco" przywłaszczyła sobie władzę w Galicji jest właściwie komisją dezorganizacyjną. Komisarzem ludowym wojny, jest malarz Tetmajer. Komisarzem spraw wewnętrznych — Lasocki, który mianuje na wszystkie powiaty komisarzy ludowych. W niektórych powiatach zamianował komisarzami ludowymi chłopów. Prócz tego upoważnia do tworzenia po powiatach sowietów do kontrolowania komisarzy. Niby to, mają to być rady przyboczne i kontrolujące pod nazwą powiatowych komisyj likwidacyjnych. W sprawie kolbuszowskiej niewiele mogłem wpłynąć. Lasocki przyjął mnie tym, żebym mu dał święty spokój, bo on już nie wie, gdzie ma głowę. Na moją uwagę, że szef administracji w takim przełomowym czasie powinien mieć głowę na karku — raczył mię nareszcie wysłuchać. Stwierdził jednak, że nie można ograniczać swobody wiecowania. Że Komisje likwidacyjne po powiatach muszą być, jako kontrola komisarza... Odniosłem wrażenie, że z pomiędzy członków PKL nikt właściwie niczego dobrze nie rozumie. Każdy rządzi na swą rękę... Jest to zabawa w rząd, farsa która byłaby śmieszna, gdyby nie przyczyniała się do szerzenia anarchii. Oburzenie na PKL rośnie, zwłaszcza z powodu jej obojętnego stanowiska w sprawie Lwowa. I jeżeliby Lwów musiał się poddać, to żaden z członków PKL nie będzie się mógł nigdzie pokazać. Zniesie ich oburzenie polskiego ogółu".

Takie czarne myśli snuł dr Hupka, przypuszczając, że sprawa jego z Czarnym niedobrze stoi, chociaż mój zastępca radca Noel obiecał mu, że ten nie będzie komisarzem PKL.

Jak mylnie p. Hupka oceniał stan rzeczy, wynika z notatki, którą umieszcza we dwa dni później: „Starosta podał się do dymisji. PKL dymisji nie przyjęła, tylko udzieliła staroście miesięcznego urlopu, mianując jego zastępcą komisarza Strzyżowskiego z Tarnobrzega".

Przypominam sobie, iż sędzia Czarny rzeczywiście rozwinął niezdrową agitację w powiecie kolbuszowskim, że zwróciłem się do prezydium apelacji krakowskiej z zażaleniem przeciwko niemu. Jego władza przełożona wytoczyła mu dyscyplinarkę, co stwierdza dr Hupka w jednej ze swoich późniejszych zapisek.

W czasie, kiedy p. Hupka przybył do mnie ze swoimi żalami na sędziego Czarnego i radami w sprawie administracji, miałem na głowie przede wszystkim reorganizację zupełnie rozbitej administracji i służby bezpieczeństwa, tłumienie groźnych rozruchów i bandytyzmu w zachodniej Galicji, tudzież współudział w organizacji odsieczy Lwowa. Wobec tych kwestyj, które mnie w zupełności absorbowały, spór Hupka-Czarny w Kolbuszowskim nie wydawał mi się oczywiście wydarzeniem pierwszorzędnej wagi. To też zapewne odesłałem go, jak to zwykle czyniłem w sprawach drugorzędnego znaczenia, do mojego zastępcy i przyjaciela Noela, który to rzeczywiście doskonały urzędnik, miał — pomimo wytężającej pracy — jednak więcej czasu ode mnie, obarczonego nie tylko sprawami wydziału administracji i bezpieczeństwa publicznego, ale i częstymi i długimi, zwłaszcza na początku istnienia PKL, posiedzeniami Komisji, małego parlamentu, gdzie kwitła zwykła wielomówność ciał parlamentarnych.

Zarzuty, jakie p. Hupka stawia PKL są przeważnie urojone i nieuzasadnione. Komisja objęła rządy wśród następujących stosunków: Po pierwszym jedno lub dwudniowym wybuchu uczuć patriotycznych z powodu odzyskania niezależności i usunięcia obcych rządów, pojawiły się wśród ludności nader niepokojące objawy, po części jako reakcja po przeszło czteroletnim ucisku wojennym. Żołnierze, Polacy, z dawnej armii austriackiej rozbiegli się do domów. Żadna siła ludzka nie była w stanie zatrzymać tych ludzi, przemęczonych wojną, w dalszej służbie wojskowej dla Polski. Pozostali tylko oficerowie Polacy i garstka podoficerów i żołnierzy. Znaczna część policjantów w Krakowie — Rusini — opuściła służbę. Żandarmerię po powiatach rozbroili i rozpędzili dezerterzy, „Zielona gwardia", mszcząc się za poprzednie ściganie ich. Zamordowano przy tym kilku żandarmów. Prawie wszystkich starostów i wielu urzędników administracyjnych wypędziła ludność z ich siedzib. Znienawidzono ich w czasie wojny za rekwizycje środków żywności, które musieli przeprowadzać, za różne sprawy wojskowe, za rzeczywiste lub urojone krzywdy przy udzielaniu zasiłków wojskowych itp. Usunięto wielu wójtów, a nawet całe rady gminne. Władzę przejęły po powiatach pod najrozmaitszymi nazwami różne komitety, nieraz bardzo liczne, liczące czasami i po 100 członków, a między nimi — obok ludzi zacnych, poważnych, — wodzili rej nieraz liche indywidua, pragnące robić na demagogii karierę lub interesa wśród powszechnego zamieszania.

Wobec braku władz bezpieczeństwa publicznego, wypłynęły na powierzchnię najgorsze elementy wśród ludności. Różne szumowiny, dezerterzy, kryminaliści urządzali napady rabunkowe na miasteczka, na dwory, na żydów, na zamożniejszych chłopów.

Równocześnie przewalały się przez kraj wojska austriackie i niemieckie, powracające z frontu wschodniego, jeńcy rosyjscy, uchodzący z obozów jeńców wojennych, w drodze do Rosji, Polacy i Rusini powracający z frontu zachodniego, z wschodniej zaś Galicji napływały do zachodniej części kraju masy uciekinierów. Lwów wołał o odsiecz. Na Śląsku Cieszyńskim starcia z Czechami. Nie było wojska, żandarmerii. W Krakowie garstka tylko policji. Nie było też pieniędzy.

Od wczesnego rana do późnej nocy zawiadamiano nas telefonami i telegramami o rozruchach, grabieżach, morderstwach. Nieustannie przychodziły przeważnie żydowskie deputacje z miasteczek, tudzież poszczególni właściciele dóbr ziemskich, nieraz i zamożniejsi chłopi, prosząc o pomoc zbrojną. Radzono sobie z początku w ten sposób, iż powierzano niektórym oficerom werbowanie oddziałów „lotnych", złożonych z dawnych żołnierzy, i wysyłano je do najbardziej zagrożonych miejscowości. Niezmiernie jednak trudno było znaleźć pieniądze na opłacanie tych oddziałów. Ci, którzy byli najbardziej zagrożeni i najgłośniej dopominali się siły zbrojnej, nie dawali grosza na cele obrony. Pamiętam, jak cennymi dla organizacji służby obrony i bezpieczeństwa były kwoty, które zupełnie przypadkowo wpływały: to jakaś znaczniejsza kwota odebrana przez żołnierzy Polaków zbiegom austriackim, którzy obrabowali byli kasę pułkową, to 75 tysięcy koron złożone bezinteresownie przez braci Pisulów z Bieżanowa, to pieniądze odebrane jeńcom rosyjskim, którzy je niewiadomo gdzie i komu zrabowali i t. p.

Że sytuacja nie była łatwą — świadczy chociażby tylko zapiska w pamiętniku p. Hupki z 16 listopada: „Ze wszystkich niemal powiatów wieści o pogromach i napadach rabunkowych. Najgorzej jest w Chrzanowie i Brzesku, gdzie padają trupy".

Nie tylko w Chrzanowie i Brzesku padały trupy. Kiedy jednak p. Hupka wywodził swoje żale na papierze, sytuacja była już opanowana. Ekspedycje lotnych oddziałów, które nieraz musiały użyć broni, wprowadzenie sądów doraźnych najpierw w Chrzanowie i Brzesku, już 8 względnie 13 listopada, rozszerzenie ich następnie na cały kraj, wykonanie na bandytadach kilkunastu wyroków śmierci, wydanych przez sądy doraźne, plakatowanie tych wyroków, zorganizowanie Straży w miejsce dawnej żandarmerii, przy zaciągnięciu do niej przeważnej części dawnych żandarmów Polaków, zreorganizowanie policji, przy czynnym współdziałaniu dyrektora Krupińskiego, organizowanie straży obywatelskich po większych miastach, a zwłaszcza dobrze funkcjonującej pod kierownictwem dra Schneidra w Krakowie, to wszystko doprowadziło do stłumienia rozruchów i rabunków, do wprowadzenia, względnie utrzymania spokoju. Jedynie w t. zw. „republice tarnobrzeskiej", gdzie niepokoje przybrały wielkie rozmiary, wskutek demagogicznej agitacji wikarego Okonia i agentów bolszewic-

(Dokończenie na str. 2).

ANTONI WAŚKOWSKI

TRAGEDIA

Geniusz skrzydlaty i młody
do lotu się zrywa,
jeno na skrzydłach więziwa
nie dają swobody...

Spętany rwie się rozpacznie —
śmierć stoi u czoła —
— nim Sława imię zawoła,
tragedia się zacznie!

Społeczeństwo polskie w czasie wielkiej wojny w świetle pamiętnika dra Hupki

(Ciąg dalszy ze str. 1).

kiego Dąbala, potrzeba było większych sił wojskowych i dłuższego czasu dla wprowadzenia ładu.

Administracja została zreorganizowana. Za zgodą P. K. L. zamianowałem komisarzami tej Komisji (starostami, nazwy tej jednak musiano przez jakiś czas unikać, gdyż w czasie wojny stała się bardzo niepopularną), przeważnie w najniespokojniejszych powiatach, osobistości cieszące się popularnością, a zarazem godne zaufania, m. in. dwóch włościan, b. posłów. Spełnili oni wszyscy z wyjątkiem jednego — właściciela dóbr — należycie swoje obowiązki, a w pierwszym rzędzie zaprowadzenie spokoju i ładu. Tam, gdzie to było możliwym zamianowałem urzędników administracyjnych. Stanowili oni przeważną część — 21 na 34 — komisarzy P. K. L. Rozwiązałem samoistnie potworzone organizacje powiatowe i utworzyłem Rady przyboczne o niewielkiej ilości członków, jako ciała doradcze przy komisarzach P. K. L., w skład których wchodzili także członkowie dotychczasowych Wydziałów Rad powiatowych. W ten sposób i p. Hupka wszedł do „sowietu".

Z końcem 1918 r. panowały w zachodniej Galicji zupełnie normalne stosunki administracyjne i bezpieczeństwa.

Intensywnie pracowano we wszystkich wydziałach P. K. L. Na jakiej podstawie p. Hupka odniósł wrażenie, „że z pomiędzy członków P. K. L. nikt właściwie niczego dobrze nie rozumie", nie jest mi wiadome. Na czele wszystkich wydziałów P. K. L. — z wyjątkiem wojskowego, w którym jednak zastępca naczelnika był oficerem — stali ludzie mający fachowe kwalifikacje. N. p. kierownik wydziału robót publicznych inż. Kędzior, długoletni dyrektor biura robót wodnych Wydziału Krajowego, był znakomitością w swoim fachu. — Inż. Zieleniewski, dyrektor jednej z największych fabryk w kraju, był kierownikiem wydziału przemysłowego, — wyższy urzędnik dyrekcji kolei, Starzewski, komunikacji, — dyrektor gimnazjum Rychlik, wydziału szkolnego, i t. d.

Na czele wydziału opieki społecznej i zdrowia stał doktor medycyny Bobrowski, b. zastępca p. Hupki w departamencie opieki N. K. N-u. Zdaje się, że ta współpraca dra Bobrowskiego w P. K. L. była jedną z głównych przyczyn abominacji p. Hupki do tej władzy. W P. K. L. działalność dra Bobrowskiego była dodatnia. M. in. brał gorliwy udział w staraniach o odsiecz Lwowa i o zarządzenie poboru wojskowego.

O ile zjadliwą krytykę P. K. L. wytłumaczyć sobie można niezadowoleniem p. Hupki z powodu braku wpływów konserwatystów krakowskich w tej Komisji i objęcia w niej ważniejszego stanowiska przez jego osobistego nieprzyjaciela, to insynuacje jego w sprawie stanowiska K. P. L. w kwestii odsieczy Lwowa, nie są do wytłumaczenia. Prócz wywodów, które już przytoczyłem, pisał on jeszcze 18 listopada, siedząc sobie w Niwiskach, i nie mając pojęcia o tym, co się działo w Krakowie: „Wiadomości ze Lwowa straszne... A Komisja Likwidacyjna protestuje tylko. O wysłaniu posiłków nie myśli". Co warte te urojenia p. Hupki, świadczy fakt, iż we 2 dni później notuje: „Na odsiecz Lwowa idą już wojska polskie. Roja z oddziałami P. K. L. i generał Rozwadowski na czele znaczniejszych sił".

Odsiecz Lwowa była największą troską P. K. L. od pierwszej chwili, gdyśmy się dowiedzieli o zamachu Ukraińców i bohaterskiej obronie tamtejszych Polaków. Z początku na 23 członków P. K. L. tylko dwóch miało objekcje przeciw walce z Ukraińcami. Musieli jednak wkrótce umilknąć. Ogromna większość P. K. L. z zapałem organizowała werbunek i odsiecz. Świadczą o tym wzmianki w dziełach czynników kompetentniejszych do ocenienia ówczesnych wydarzeń wojennych, aniżeli p. Hupka. I tak pisze generał Rozwadowski w raporcie do Naczelnego Wodza 15 listopada 1918: „Przyjąłem na siebie 8 b. m. zobowiązanie formalne wobec Galicyjskiej Komisji Likwidacyjnej zorganizowania, możliwie rychłego, odsieczy" (Lwowa). Raport ten przytacza, równocześnie pisząc o formowaniu odsieczy w Krakowie, kapitan S. Rutkowski w „Odsieczy Lwowa 1918 r.". W pracy podpułkownika J. Sopotnickiego „Kampanja polsko-ukraińska", Lwów 1921, znajdujemy następujący ustęp: „Przy żywem współdziałaniu Polskiej Komisji Likwidacyjnej, zwłaszcza zaś posła hr. Skarbka, zorganizowano w czasie od 12 do 17 listopada w Przemyślu grupę bojową, której dowództwo powierzono podpułkownikowi Tokarzewskiemu". O współdziałaniu P. K. L. w dostarczaniu ochotników i zaopatrywaniu wojska, świadczą chociażby tylko telegramy, wspomniane na str. 181, 191, 192 książki generała Roji „Legendy i fakty", zresztą pracy bardzo nieścisłej, napisanej widocznie pod wpływem rozdrażnienia i rozgoryczenia. Oczywiście, prócz P. K. L. działały i inne czynniki w sprawie odsieczy, a zwłaszcza Naczelne Dowództwo w Warszawie. P. K. L. jednak pierwsza rozpoczęła tę akcję i robiła wszystko co było w jej mocy dla zorganizowania i przyspieszenia odsieczy. Zarzuty p. Hupki są zatem ciężkie, a niesłuszne.

Wywody p. Hupki w jego pamiętniku, skłaniają mnie do przypuszczenia, iż on to był informatorem prof. Bobrzyńskiego, który, nie przebywając w Galicji w czasie przewrotu w r. 1918, nie znając zupełnie ówczesnych stosunków, nie badając aktów P. K. L., napisał w swojej, wydanej bezimiennie pracy p. tyt. „Wskrzeszenie Państwa Polskiego" ustęp o P. K. L. idący po linii pamiętnika p. Hupki, które to wywody powtórzył w nieco złagodzonej formie w III tomie „Dziejów Polski w zarysie". Musiałem z przykrością wykazywać w broszurze wydanej w r. 1931 p. tyt. „Wspomnienia szefa administracji P. K. L.", iż ten sędziwy uczony, którego ceniłem i szanowałem, widocznie pod wpływem błędnych informacji, wyraził nie tylko mylne poglądy o P. K. L., ale przedstawił także szereg faktów zupełnie niezgodnie z rzeczywistością, co łatwo było udowodnić.

Że pod rządami P. K. L. nie było znowu tak źle, świadczy zapiska w pamiętniku z daty Kraków 20 grudnia: „W Krakowie spokój i porządek, ale olbrzymie przeludnienie. Jest to bowiem jedyne obecnie w Polsce większe miasto, gdzie można liczyć na spokój i osobiste bezpieczeństwo".

Przy rezolucji Koła Polskiego z 16 maja 1917 wspomniałem o deklaracji Wilsonowskiej. Zaznaczam, że tu mowa o deklaracji Wilsona z stycznia 1917 r., w której podniesiono również kwestię niepodległości Polski, a oczywiście nie o słynnych „punktach" Wilsona z r. 1918.

Listy Cypriana Norwida do Bronisława Zaleskiego

Do druku podał Stanisław Pigoń

13. 1868, 2 Novemb.

Uprzejmy i zacny Bronisławie

Sześć kompozycyj mam do skończenia na dzień i godzinę wyznaczoną.

W chwili, kiedy to czytasz, zapewne skończona jest rzecz z pseudonimem, którego nie znam i nie przeze mnie skończona. Z jakimś p. Bolesławitą. Pseudonimu żadnego nie znam, kto jest, — bo pseudonim jest pseudonimem, a nazwisko familijne jest nazwiskiem familijnem.

Liber et ingenuus sum, natus utroque parente
Semper ero liber, — spero tuente Deo.

Nie jestem Słowianinem (niewolnikiem), pochodzę z Normandów. Tyle wieku, zupełnie tyle jestem Polakiem, ile Anglikiem i Francuzem. Jestem z pochodzenia i krwi maltański kawaler. Nawet za Mikołaja I nie byłem niewolnikiem.

Ale to na boku zalega; a co główne jest, to t o, co następuje:

Czy Jego Ks. Mość Książę Władysław Czartoryski nie może i nie zechce postarać się wiedzieć dla ciebie, gdzie, kiedy, jak mógłbyś się rozmówić z doktorem Van-Schmidt?

Mój Bronisławie! Czy chcesz mnie zniewalać i zmuszać, abym ci wyznawał i powiadał, że w podróżach moich niekoniecznie były mi obojętne, obce i nieznane, cele i sfery umiejętności zakrytej? — Van-Schmidt wiem, że badał prawdę człowieka z miłością osobną, — nie kaligraficzną. Poradź się więc jego medykalnej wiedzy. On gdzie, kiedy przyjmuje, — to zapewne cesarz Francji i dworskiemu światu nieobce osoby, jak np. J. K. Mość Książę Wład. Czartoryski, wiedzą lub mogą wiedzieć. Radbym, abyś poradził się doktora v. Schmidta.

Wiem, że jeśli się zaniedbasz, to choroba twa pójdzie pod kategorie tu znanych chorób, ale że z zarodka swego jest chorobą całe innej natury i chorobą pochodzącą z warunków nieznanych lekarzom, którzy g l o b u n i e z n a j ą i siedzą sobie w szlafrokach i w gabinetach paryskich lub innych gabinetach tejże wartości.

Powiesz, mój drogi: „A czemuż się nie radzisz o twój słuch?" Odpowiem ci, że dlatego, iż dnia i godziny wyznaczonej przyjdę do ciebie i ostrzegę cię, w progi twe wchodząc, że słyszę zupełnie dobrze. Więc sam to potrafię kiedyś, i dlatego radzić się nie mogę.

Mówisz o mojej M a ł e j — m o d l ą c e j s i ę. Czy wiesz, że ja jej nie mam i że kilka egzemplarzy tylko odbito, a blacha jest w Warszawie, podobno za szkłem u barona Rastawieckiego schowana, i tam zardzewieje i zgnije w tym waszym Telimeny kraju, w którym wszystko jest

w Petersburku —
mam plan jego — w biurku
(Mickiewicz w „Panu Tadeuszu")

Otóż to jest: w biurku lat 12, — aż to wszystko razem pioruny zapalą niebieskie!...

Cyprjan Norwid.

Kraszewski dopuścił się wobec Norwida nieprzyjemnej niedyskrecji: w felietonie „Dziennika Poznańskiego" 1868 nr 271. podpisany pseudonimem Bolesławita ogłosił on bez jego wiedzy i upoważnienia ustęp prywatnego listu, odnoszący się do Matejki. Oburzony Norwid zaprotestował i uciekł się do przyjaciół o potępienie tego postępku. Zob. „Garść listów", str. 50 i n. — O wspomnianym tu miedziorycie wyobrażającym dziecko modlące się przed świecą na wiadrze zob. tamże str 58. Dodajmy, że sztych nie zaginął, reprodukcję jego można znaleźć np. w Piniego wydaniu Dzieł C. Norwida.

14. (Paryż, 10 maja 1869).

Niech lepiej nie chcą, aby się j a ś n i e j mówiło!... Czasem się nie mówi jaśniej przez grzeczność.

...Wiem, że nielubiący żadnego kroku naprzód cichaczem się uskarżą, — ale i tych nie byłoby, gdybym nie starał się być delikatnym i gdybym wyraziście rzekł, gdybym (jak chcą) j a s n o r z e k ł.

Poezja, która zapomina o tem, że ona c o ś r o b i ć powinna, — zapomina przez to samo o zdrowej estetyce. Ja takiej poezji nie rozumiem dla tego samego, dla czego bardzo piękna kobieta w Chinach nie może się ruszyć z miejsca, bo ma otyłe formy, i nie może nic ręką dotknąć, bo ma palców kształty zepsowane konserwacją palców i bałwochwalstwem paznokci. Ale Nausika, córka królewska u Homera, dlatego jest taka piękna, iż do rzeki chodzi prać bieliznę!... Sapienti sat est.

Nie pozwalam zrobić bałwanka z poezji i potem drżeć, czy się nie obali, jak kto ruszy nogą naprzód.

Jest pewna proporcja utylitarności, która jest warunkiem piękna.

To ja przynoszę i to robię, a ci, co drżą dlatego o pagody i cichaczem skarżą się na niezrozumiałość — będą przez ich sumienia oświeceni.

Ja bardzo subtelnie każdego omijam, ale trzeba także myśleć o tem, że ja i sądzić mogę, dlatego, że sam się narażam i pod sąd oddaję.

Zrobili już prawie chińską kobietę z poezji; — jak mi ze złą wolą zawadzą, to ich wywrócę, bo powiadam ci, że ażeby najpiękniejsza ręka kobiety miała rozwinięte profile swoje, to — musi coś robić.

Pojęcie to moje jest zarówno chrześcijańskie jak prawdziwie estetyczne.

*

Tobie dziękuję za pamięć i za kartkę twoją. Rękopism oddałem Nab(ielak)owi i nie mam go teraz u siebie.

Dwie godziny rytmu osłabiło mi piersi i na chwilę głos stradałem był.

Cyprjan Norwid.

(Ciąg dalszy na str. 3).

Ks. Dr BOLESŁAW KOMINEK

Żołnierz narodowego odrodzenia na Śląsku

Ks. Dr Emil Szramek z Katowic wydał kilka tygodni temu książkę p. t. „**Ks. Aleksander Skowroński, obraz życia i pracy na tle problematyki Kresów Zachodnich**". (str. 212). Tytuł i objętość dzieła już wskazują, że nie jest to zwykła biografia Ks. Skowrońskiego, znakomitego kapłana i narodowego działacza na Śląsku, ale szeroki opis zazębiających się stosunków kościelnych i narodowościowych w tej polskiej dzielnicy przed wojną. Autor opiera się na dokumentach historycznych, na listach pozostałych po zmarłych i zeznaniach osób żyjących.

Polski ruch narodowy, który pod koniec ubiegłego wieku zaczął się budzić na Śląsku Górnym, a który w pierwszej dziesiątce lat naszego stulecia urósł do rozmiarów potężnej lawiny, miał mocny podkład w przyrodzonych wartościach ludowych, zakorzenionych głęboko na Śląsku. Stróżami prawie wyłącznymi tych wartości ludowych, jak język, pacierz, śpiew kościelny, tradycyjne obyczaje ludowe, byli bezwątpienia duszpasterze tego ludu. Walczyli z nim razem o jego prawa w czasie „kulturkampfu" i później na arenie politycznej za pomocą centrum. Kler i lud stanowili jednak całość, interesy ludowe pokrywały się ze sprawą katolicką niemal w stu procentach.

Tragedia kleru i ludu zaczyna się w chwili, kiedy następuje rozdźwięk tożsamości interesów. Centrum dostaje się coraz bardziej w sferę brutalnych działań germanizacyjnych idących z Berlina, przy tym jednak nie przestaje być oficjalnym czy raczej półoficjalnym przedstawicielem Kościoła (diecezji wrocławskiej) w dziedzinie politycznej. Język polski wyrzuca się radykalnie ze szkół i urzędów — ostatnie refugium znajduje w życiu kościelnym. Ale i stąd germanizatorskie wpływy polityczne zaczynają go już rugować. Niebezpieczeństwo jest wielkie, bo ani lud ani nawet kler w swej olbrzymiej większości nie był narodowo uświadomiony, nie miał żadnego kontaktu z ruchem narodowym i niepodległościowym reszty Polski.

Niebezpieczeństwo grożące Śląskowi zauważyli w odpowiedniej chwili ludzie świeccy, Wielkopolanie, którzy przybiegli na pomoc i skupiwszy nieliczne jednostki uświadomione narodowo na Śląsku stworzyli tak zwaną przez Niemców „grosspolnische Bewegung", czyli prawdziwy ruch narodowy, któremu później taką potęgę dał Wojciech Korfanty. Tragiczna walka tych czynników: potężnego kolosu państwa niemieckiego, które dąży konsekwentnie do swego celu, władz kościelnych, które się uginają coraz bardziej pod ciśnieniem idącym z góry, kleru związanego z ludem i współczującego z nim, ale związanego też z centrum a młodzieńczego, polskiego ruchu narodowego — ta walka stanowi treść poważnego dzieła Ks. Szramka.

Jakie były możliwe wyniki tej walki? Albo polski ruch narodowy, wszczęty wśród ludu głęboko wierzącego i idącego za swymi duszpasterzami, utkwi w początkach i zawiedzie, albo też zwycięży mimo wszelkiej przeszkody, ale wtedy pójdzie własnym torem obok Kościoła albo zwróci się radykalnie przeciw niemu.

W tej pełnej napięcia chwili zjawia się na horyzoncie zmagań śląskich młody Ks. Skowroński(ur. w 1863 w Siemianowicach), zjawia się „w sam raz" opatrznościowo. Ponieważ był poetą, patrzał głębiej i przenikliwiej, aniżeli inni, na to, co się około niego działo.

Widział, że praktykowanymi dotychczas sposobami nie zdoła się już ludu wyratować, centrum zawodzi, staje się z matki „macochą", a kler się załamuje. Stanął więc jako jeden z pierwszych wyraźnie po stronie ruchu narodowego. Więcej: pociągnął swoim przykładem cały szereg kapłanów młodszych nie obciążonych dziedzicznie działalnością centrową, którzy idą za jego przykładem, łącza się również z ruchem „wielkopolskim" a później z Korfantym. Polski ruch narodowy już nie może być uważany za antykatolicki, heretycki i husycki, bo już w jego szeregach stanęli księża; o wiele mniej licznie aniżeli w centrum — ale byli. Oto wielki i brzemienny w skutki czyn Ks. Skowrońskiego. On to właśnie „ochrzcił" ruch narodowy, jak ktoś powiedział, ochrzcił go, a więc tym samym dopomógł mu do jego powodzenia. Zajęcie takiego stanowiska było niełatwym i nie odbyło się bez zmagań wewnętrznych. Denuncjacje do władz kościelnych, trudności z licznymi konfratrami, niezgody w własnym obozie narodowym, ataki prasy, oto — „cząstka", którą sobie obrał Ks. Skowroński z całą świadomością. W pewnym momencie „upał dnia" stał się tak dokuczliwym, że Ks. Skowroński przeszedł kryzys załamania się — Bogu dzięki tylko przejściowy. Największym jednak bólem dla niego był, jak pisze autor, fakt, że jego własna parafia Ligota, znajdująca się na samej granicy zachodniej obszaru plebiscytowego, a którą przez kilkadziesiąt lat dobrze duszpasterzował, zawiodła w dzień plebiscytu. Zbiorowa agitacja nauczycielstwa zepsuła wszystkie jego wysiłki. Ubolewał też niezmiernie nad tym, że tylko część Śląska uzyskała wolność we własnej ojczyźnie. Tym właśnie tłumaczy też Ks. Szramek fakt, że po plebiscycie w wolnej Polsce Ks. Skowroński nie pisał

List *** datowany, data wzięta ze stempla pocztowego. — Wspomniany rękopism zawierał poemat „Rzecz o wolności słowa". Utwór ten był odczytany przez Norwida na zebraniu publicznym właśnie w maju tego roku, niebawem też ogłoszony drukiem (Paryż 1869).

15. (Paryż, 18 maja 1869).

Wyobrażam sobie, że dziś, we wtorek, spotkam Cię au Matinée Musicale, — że jednak i tego nie wiem pewno, a gwałt wielki zbliża się do mnie, przeto na wszelki wypadek piszę, co następuje:

U odźwiernego mojego w domu, gdzie mieszkam, stoi zapakowana moja akwarela, dlatego, że od paru dni miano po nią przysłać i zapomniano s o b i e! Jestto, jak zobaczyłbyś, rzecz w rodzaju swoim godna uwagi, i tej natury mało zapewne zdołam zostawić. Gdybym mógł to, choćby dlatego abyś widział rzecz, posłałbym ci; gdybyś przysłał, oddanoby, bo ku temu była u odźwiernego złożona i zostawiam ją jeszcze tamże.

Teraz konkluzja:

Sobie to zachowaj-że naturalnie, iż nikt a nikt tego nie rozumie(!), a kiedy? kiedy? zrozumie, że to, co niedawno publicznie dopełniałem, nie zrobiło się inaczej, jedno z zaniedbaniem zupełnym wszystkich innych własnych interesów, — więc jestem zbankrutowany na wsze strony; tak jak zawsze w naszem społeczeństwie, jeśli się krok choćby drobny dla niego dopełni *). Musiałem ci przecie absorbowanym być zupełnie znaczny przeciąg czasu, ale o tem, jak wiesz, nigdy nikt ani pomyśli!

Przeto — konieczne i ile podobna prędko muszę sprzedać tę akwarelę. Ceny nie stawiam, bo anormalnie sprzedając, tego się na dwie strony nie robi. Jedno ci zaręczyć mogę i ty poznasz, że cena jest w tych ramach i że à la longue nikt nie straci na kupnie.

Sam — osobliwie że teraz nie mogę na ten dystans z nikim traktować, bo naturalny jest rezultat, że jeszcze pomiędzy mną a społecznością teraz co innego stawa się pierwszem. Słowem, że najprzód musiałem zbankrutować za to, że pracowałem, a teraz za to, że dopełniłem.

Z tych względów kwadrans rozmyśliwszy, poradź mi co na motywie wyżej wskazanym.

Całuję cię w czoło. **Cyprjan N.**

Przedmiot jest L e s p o r t e s d u e n f e r s, ale nazwij, jak chcesz.

Data stempla pocztowego. Praca, której poeta niedawno publicznie dopełnił, to niewątpliwie wspomniany powyżej poemat „Rzecz o Wolności słowa". Tworząc go, zaniedbał robót zarobkowych.

16. (Paryż, 24 maja 1869).

Obawiam się ci powiedzieć, że w zupełnej pozostaję nieświadomości co do mojego kartonu, — a obawiam się z tej przyczyny, iż gotów jesteś doraźnie uważać się za p o s ł a ń c a z r o z k a z e m. Zaś całe ci to zataić, iż nic nie wiem, nie mogę, bo czas niezmiennie trudny niezmiennie szybko idzie sobie.

Wszyscy m y jesteśmy coś do owych na cyrk wchodzących, lub wynoszonych z cyrku podobni. Śpiewamy: „morituri...", klasną nam i powiedzą: „morite — umrzyjcie!"

Może który z wieszczów polskich, którym szlachcice dawali wioski, kupiłby mój karton ów. Myślę, iż jesteś zdania, że gdyby zawsze takie przyszło w tych warunkach po sto pięćdziesiąt fr. sprzedawać, to niekoniecznie byłoby obu stron równą stratą. Jeżeli tyle ten chętnie oddam teraz.

Żal mi, że cię i temi oto słowy zaprzątam, wszelako zupełnie zmilczeć nie powinienbym i z tego idzie, że to piszę.

Rękę twą ściskam.

Cyprjan Norwid.

1869 maj, poniedziałek.

W i e s z c z e p o l s k i e:

Wincenty Pol w swej o Goszczyńskim prelekcji ogłasza, że p. Seweryn usunął się był od p. Towiańskiego nauki. — Goszczyński i jego przyjaciele mówią, że to istny fałsz i że bynajmniej tak nie jest.

Ale Wincenty Pol mówił do szlachciców, którzy na mszę chodzą (lub żony ich chodzą), więc naturalnie, iż uważał za słuszne tak wygłosić tę rzecz. Oto masz w o l n o ś ć s ł o w a!

Na cóż się zda, że kto ma katedrę, druk, dzienniki etc., etc., etc.? Jak się rozrachujesz na palcach, wielu nie łże? — zaręczam ci, że ci palców u rąk nie zabraknie. **C. N.**

List z datą ogólną i szczegółową oznaczyć jednak można ściśle. List jest późniejszy od poprzedniego, z d. 18. V. jest z poniedziałku, a najbliższy poniedziałek wypadał 24 maja.

Wzmianka o prelekcji Pola, zdawałoby się, że się odnosi do lwowskich jego wykładów, wydanych drukiem 1866 r. p. t. „Pamiętnik do literatury polskiej XIX w."; jednakowoż zakwestionowanego przez Norwida zdania o Goszczyńskim tam nie ma.

17. (Paryż, 21 maja 1869).

Drogi i nadużyty Bronisławie!

Właściwiej było ci powiedzieć, że — trafiłem na człowieka, który wszystko zrobił, a tylko myśleć można było. Trafiłem na ciebie.

Niech sobie to u p. Marji Przez(dzieckiej?) zostaje, a jak ma się stać, stanie się. Nie można było śliczniej zrobić, i co najważniejsza: nie można było prędzej. A zapewne mówiono w domu, że dni około 10 spoczywały ramy i czekały, bo były do wzięcia i miały przygotowane przeznaczenie. Więc to nie początkując, ale doganiając wpadło na ciebie, ...zapewne z tej przyczyny, tobie i mnie nie obcej, że wszystko, co cię uciąża społecznie, pochodzi jedynie z tej to przyczyny do-ganiania, nie iścia.

Jeżeli zaś tak jest od innych, a wielce od nas mniej usprawiedliwionych, jakże ma odemnie być? Pocieszaj się wszelako ogółem Sprawiedliwości czujnej. — I ty taksamo, w inakszej kiedy rzeczy, użyjesz mnie, bo to czyni ogółu zapóźnienie, nie nasza osobistość. Kto z nas radby słomkę małą na drodze spotkaną nadużyć i pogwałcić?... Ale to nie nasze czynią chcenia i delikatnoście.

Sprawozdania nie czytałem, a jak potrafię — przeczytam, albowiem uszanowanie mam dla tego, co ogół czuje i sądzi, i uczy mię to. Ale szukać bardzo starannie, — to nigdy tego nie rabiałem, dla dwóch przyczyn. Raz, że u nas to wszystko anormalne, — drugi raz, że dziś niema poety w Polsce, któryby o sobie napotkał był tyle zupełnie lekceważeń ile uwielbień.

Rękopism dałem na „słowo belwederskie" Ludwikowi Nabielakowi, — domyślasz się więc, że się o takowy nie zapytam, aż on mi sam o nim mówić będzie. Jak opóźnią, — to oni winni.

---

*) U nas, jak wiesz, to tylko pour Mr. Henri Martin ou pour le Prince Napoleon qu' on se donne la peine d' être juste!

---

już żadnych wierszy radosnych i dziękczynnych; radość jego była sowicie smutkiem przepojona.

Księża na Śląsku nie prędko zapomną tę ujmującą postać Ks. Skowrońskiego. Był zawsze wesół, humor go nie opuszczał, — był dobrym dla wszystkich — łączył w sobie w przedziwnie harmonijny sposób ideał kapłana i patrioty. Umiał te dwie tak ważne sprawy szczęśliwie łączyć pod obcym panowaniem, nie zbuntował się nigdy przeciw swej władzy duchownej we Wrocławiu, nie ściągnął na siebie suspens i ekskomunik — a przy tym zamiary narodowe przeprowadzał konsekwentnie — może dlatego przede wszystkim, że umiał uzasadniać swoje stanowisko nawet wobec władz kościelnych głębokim myśleniem teologicznym, na którym narodowość swoją opierał.

Ks. Szramek pisze w swoim dziele o Ks. Skowrońskim z wielkim pietyzmem, przy czym jednak stara się o obiektywność opisując wydarzenia historyczne i związki między nimi. Może ta obiektywność kogo zaboli, może ludzie złej woli wykorzystają ją do oskarżeń o brak patriotyzmu niektórych księży na Śląsku, wyrywając pewne szczegóły z całości i tłumacząc je niezgodnie z duchem tej całości; mniejsza o to — biograf i historyk musi być obiektywnym, bo nie spełniłby należycie swego zadania. Książkę Ks. Szramka uważać można za najgruntowniejszy ze wszystkich opisów ostatnich walk o duszę polską Śląska przed jego wyzwoleniem.

HENRYK NIDJOL

Jak giną zwierzęta

Człowiek pierwotny nie miał ochoty do ponoszenia trudów obłaskawiania dzikich zwierząt. Wystarczyło mu w zupełności polowanie na dzikich mieszkańców puszcz i kniei, dających skóry na okrycie i mięso do pożywienia. Z ubytkiem lasów, ubywało i zwierzyny łownej, a jeżeli człowiek poświęcił mnóstwo czasu i sił celem oswojenia zwierząt kopytnych, to uczynił to jedynie dlatego, ponieważ widział w tym swoją osobistą korzyść i czynił to jedynie ze względów utylitarnych. Mroki dziejów kryją tajemnicę, kiedy człowiek zajął się pasterstwem i hodowlą zwierząt, które nieprzerwanie towarzyszyć mu będą aż po dni dzisiejsze.

Granica wieku poszczególnych gatunków zwierząt jest dość rozległa. Słonie, krokodyle, żółwie, z ryb karpie i szczupaki, z ptaków papugi, żyją bardzo długo, osiągając późny wiek, dochodzący nawet do setki.

Zwierzęta naszych pól i lasów, rzadko kiedy giną śmiercią naturalną. O ile nie staną się łupem myśliwego, to z chwilą, gdy zęby ulegną starciu, lub wypadną, zwierzę staje się łatwym łupem młodszego i silniejszego przeciwnika. Wilki, lisy, psy włóczęgi, sępy, orły, puchacze, jastrzębie, wrony, sroki, wreszcie mrówki, uprzątają wszelką padlinę — bez względu na to, czy zwierzę padło wskutek starości, chorób, wycieńczenia lub odniesionych ran. Jako ślady ich życia, znajdujemy jedynie kości bielejące na słońcu lub resztki piór.

W krajach tropikalnych, zwłaszcza w okolicach większych zbiorowisk wód, mucha „tse-tse" powoduje spustoszenie wśród bydła rogatego, które ginie masowo wskutek epidemii, roznoszonej przez wspomnianą muchę.

Do wyginięcia pewnych gatunków zwierząt człowiek przyczynił się bez wątpienia. Tur, pierwotny mieszkaniec naszych kniei, ginie bezpowrotnie za czasów panowania króla Zygmunta III. Żubr w swej pierwotnej formie dotrwał szczęśliwie do naszych czasów, lecz cóż znaczy ilość, którą nieledwie na palcach policzyć można w porównaniu z tysiącami, które ongiś zamieszkiwały nasze bory i knieje? Niedźwiedzie, łosie, jelenie, kozice, głuszce, wszak to pospolita i liczna dawniej zwierzyna naszych lasów i gór. Dziś — niedostatki znalazły wreszcie schronienie, wskutek zarządzeń mających na celu uratowanie ich od ostatecznej zagłady.

Przenieśmy się myślą na drugą półkulę — do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie równiny Far-Westu (Dalekiego Zachodu), prerie Texasu, Arizony, Nowego Meksyku, żywiły stada bizonów i to w liczbie już nie tysięcy, a milionów sztuk, tych wspaniałych zwierząt.

Bizon był dla Indian, pierwotnych mieszkańców tych okolic, zwierzęciem poniekąd domowym. Koczownicze życie czerwonoskórych, było ściśle związane z istnieniem bizona. Poza człowiekiem, zwierzęta te nie miały otwartych wrogów. Wilk zaspokajał swój głód padłymi sztukami, porywając czasem zbłąkane cielę. Szary niedźwiedź Gór Skalistych „grizli" czy jaguar, unikał spotkania z całym stadem, lub też z samcem stojącym na straży stada. Początek zagłady bizona amerykańskiego to druga połowa dziewiętnastego wieku, czas budowy kolei, łączącej dwa oceany. Stada bizonów stawały się łatwym łupem kompanii budującej kolej, która w ten tani sposób żywiła tysiące zajętych przy budowie robotników. I co gorzej, kolej rozdzieliła pastwiska bizonów, a równocześnie dzięki tejże kolei droga do ongiś odległej prerii została uprzystępniona myśliwym. Na wyniki takiej gospodarki nie trzeba było długo czekać.

Bizon nie podlegający żadnej ochronie, ulegał zagładzie bez względu na skutki i przyszłość. Karawany strzelców, liczące setki wozów i setki ludzi ciągnęły od stacji kolejowych w głąb prerii, biły każdą napotkaną sztukę czy to dla zdobycia skóry, czy też wycięcia języka lub części lepszego mięsa, pozostawiając resztę na pastwę sępów czy szakali. Cyfry mówią prawdę. W ciągu trzech lat tej rabunkowej gospodarki, ofiarą zachłanności ludzkiej padło przeszło trzy i pół miliona tych władców prerii. Dziś, nieliczne resztki w parkach przyrody Stanów Zjednoczonych znalazły schronienie i opiekę, by uniknąć smutnego losu tura czy żubra. Z chwilą zniknięcia bizona los tubylców Indian stał się pożałowania godnym. Pozbawieni możności zdobycia skór i pożywienia plemiona zdane dotychczas wyłącznie na żywienie się mięsem bizona, zapadały na tyfus głodowy, tak że władze stanowe musiały się zająć dożywianiem w tym czasie Indian.

Z ptaków bezlotek olbrzymi pingwin, mieszkaniec wysp Północy zniknął zupełnie w połowie dziewiętnastego wieku. Obecnie, pozostałości po tych ptakach w formie skorup jaj i szkieletów, są przedmiotem rywalizacji muzeów przyrodniczych, które o ich posiadanie ubiegają się, płacąc za poszczególne okazy tysiące złotych. Czapla biała, ptak do niedawna pospolity w Europie padł ofiarą „mody". Pióra czaple, stają się nieodzowną częścią stroju i tak już pięknych kobiet. Moda wydaje na nie wyrok śmierci. Ajencje handlarzy piór płacą je wkońcu na wagę złota. Czapla biała znika z Europy bezpowrotnie. W Ameryce, jedynie dzięki nieprzystępnym bagnom w dorzeczu Mississipi, zdołały się uratować resztki tego ongiś pospolitego ptaka. Strusie też o mało nie padły ofiarą zachłanności człowieka, a głównie znowu „mody". Uratowało je od ostatecznej zagłady wycofanie z użycia piór, dawniej nieodzownej części stroju każdej damy, oraz możność hodowli w specjalnych farmach, jak w Kraju Przylądkowym, Kalifornii i Syrii.

Długość życia zwierząt jest bardzo względna i zależna od wielu przyczyn i okoliczności, które to życie mogą przedłużyć czy też skrócić. Na ogół jednak sądząc, zwierzęta żyjące na wolności z chwilą nadejścia starości stają się mniej zwinne i nie mają dość sił, by się bronić kłami czy też ratować ucieczką. Padają zatem przeważnie ofiarą licznej rzeszy drapieżników i stają się ich łatwym łupem. Na wyżynach Tybetu w Azji, gdzie brak drapieżników, zdarzają się wypadki, że zwierzęta tamtejszej fauny giną ze starości, lecz ilość ta jest wprost znikoma w stosunku do ogółu zwierząt rozsianych po kuli ziemskiej, które giną z ręki człowieka lub w walce ze zwierzętami.

Rozrywki umysłowe Nr 38

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Zadania Pozakonkursowe.

ZADANIE 1 — SZARADA PROPAGANDOWĄ

ul. **„John Ly"** — czł. Kl. Szar.

Na całym globie wre i huczy,
jakbyś **sześć-pierwsze** wetknął kij...
Czuć w atmosferze duszność tuczy,
słychać krakanie gromad kruczych
poprzez wojenny okrzyk: Bij!

Rwą się **dwa-ósme** i przymierza...
Wśród ckliwych o pokoju gędźb
co moment w szablę ktoś uderza,
raz w raz ktoś inny się zaperza
i puknąć z działa miałby chęć...

Zaprzysiężeni pacyfiści
chcą krwi, jak **siódme-ósme** dżdżu.
A **czwarta-siódma** już się czyści
pięć amunicję... (Oczywiście.
by pokój był... Que **six-un** *) vous?)

Krwawa **wspak trzecia-siódma** żarem
zda się ogarniać cały świat...
Już **czwarte-ósme** dają miarę
na strój szykowny... pielęgniarek...
(Samarytanizm — boski kwiat!)

A jaka stąd **pięć-druga-siódma**
płynie dla biednych ludzkich rzesz?
Że — choć ciężarów mnogo lud ma,
choć dzisiaj nędza tak paskudna:
to się z ofiarą na F. O. N. spiesz!

ZADANIE 2 — SZARADA — NA WESOŁO.

ul. **„Kasta"** — czł. Kl. Szar.

Pani Halina — „Pan Redaktor"
dzisiaj od rana zadzwoniła
i zawstydziła „Kastę": „Jakto?
Tak długo zadań nie przysyłać?"

Że **czwór wspak-czwór wspak-wtór wspakowy**
ja jestem, wszyscy dobrze wiecie...
(Lecz co kłopotów mam na głowie...
Cały się gubię w bied pasztecie!)

Odmówić damie? — Za nic w świecie!
I kiedyś nawet obiecałem!
...Ssę piwo **raz-wspak trzecie-trzecie**
i ...mam zadanie — chociaż **całe**.

Bo w piwiem zwykł natchnienia szukać,
(stąd taka ciężka ma szarada),
By ją rozwiązać: cała sztuka,
że także piwo pić wypada.

Zaraz się zaczną myśli kłębić,
niby wzburzona górska struga,
i z chaotycznej zwidzeń głębi
wynurzy się **pięć-szósta-druga**.

Niosą ją **piąte-siódme** wrone,
a w **wspak pięć-siódmym szósta-szósta**
(może sądzona mi na żonę!)
wygina purpurowe usta.

To łuk **czwór-jeden-cztery** Eros...
Ja żądzą już tuż-tuż zapałam,
lecz... w porę lęk odstraszy skiegoz...
i ...mam zadanie, chociaż — **całe**.

*) czasownik francuski fonetycznie.

Rozwiązanie powyższych zadań należy nadesłać do dn. 31 grudnia r. b. Ważna data stempla pocztowego. Jako nagrodę przeznacza redakcja serię widokówek Krakowa. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem redakcji dla Działu R. U.

KUPON Nr 38.

ważny do dnia 31 XII b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Był czas, kiedy w obozie katolickim mówiło się: „Germania docet“ (Niemcy — uczą). Był także, kiedy nam kazano podziwiać i na pierwszym miejscu stawiać — francuski katolicyzm. Rzadziej — katolickie Włochy, Stany Zjednoczone, Belgię. Holandię. Polska katolicka niczym nie imponowała światu. Nie ma się tym jednak co martwić. Każdy naród ma swoje odrębne warunki rozwoju i swoje własne trudności w realizacji „Królestwa Bożego“ na ziemi. Dlatego nigdy katolicyzm jednego kraju nie będzie dla drugiego wzorem w 100 proc. Można i należy się wzajem uczyć. Ale nie należy ślepo naśladować obcych wzorów. Można i należy naśladować organizatywność niemieckich katolików, ale trzeba też i o tym pamiętać, że nawet silna organizacja społeczna lub religijna nie gwarantuje zupełnego powodzenia sprawy; dowodem — obecny stan katolicyzmu w Niemczech. Można i należy się wczytywać w piękną literaturę katolicką Francji i podziwiać wysokie loty katolickiego ruchu umysłowego w tym kraju, ale nie należy przy tym zapominać, że sam ruch umysłowy inteligencji nie stanowi o duchowym obliczu kraju; świadczy o tym właśnie Francja.

KATOLICYZM WYTRWAŁY.

Z wielu krajów, które nam wskazywano jako „wzory“ do naśladowania, właściwie tylko Holandia wytrzymuje próbę życia. Jej katolicyzm jest ciągle żywy i aktywny. Jest szeroko rozlany i równocześnie głęboki... Dość powiedzieć, że 90 proc. katolickich robotników w tym kraju należy do katolickich organizacyj zawodowych i oświatowych; to katolicyzm ekstensywny... Holandia jest kolebką rekolekcyj zamkniętych, przez które obecnie w tym kraju przechodzi co rok do 60 tys. osób; to katolicyzm intensywny, pogłębiony.

Jest to ponadto katolicyzm wytrwały!... Także i w Holandii wieją te same, co w innych krajach, wrogie wichry: komunizm i neopogaństwo na wzór hitlerowski. Nie zdołały jednak poważniej naruszyć katolickiego stanu posiadania. Zarówno „duch“ mas katolickich, jak stan organizacyjny jest wyborny. A nawet — trzeba powiedzieć — katolicyzm jest tu w stanie ustawicznego rozwoju.

SZKOŁY WYZNANIOWE HOLANDII.

Wyłoniła się niedawno w Holandii dyskusja na temat szkolnictwa... Szkoła w tym kraju jest międzywyznaniowa w teorii, a w praktyce prawie „świecka“. To nie zadowala katolików, a także i trochę protestantów. Skutkiem tego rozwinęły się prywatne szkoły wyznaniowe: katolickie i protestanckie.

Ostatnio rząd przystąpił do redukcji budżetu szkolnego. Chodziło o los państwowych szkół, które oczywiście na tym budżecie swoją egzystencję opierają. Ale także o los prywatnych, wyznaniowych, szkół, które są wprawdzie utrzymywane z prywatnych funduszów, ale korzystają także z państwowych subwencyj.

Rząd wystąpił z projektem mechanicznego obcięcia wszystkich tych pozycyj. Sprzeciwili się katolicy i zażądali zbadania stanu poszczególnych rodzajów szkoły, ponieważ w ostatnich latach nastąpiły bardzo poważne przesunięcia i zmiany.

Stało się zadość ich życzeniu i na jaw wyszły bardzo interesujące szczegóły... Przede wszystkim stwierdzono olbrzymi rozwój prywatnego, wyznaniowego, szkolnictwa. I tak liczba młodzieży w szkołach protestanckich podniosła się z 153 tys. w r. 1910 do 293 tys. w r. 1935. Jeszcze większe zmiany wykazuje szkoła katolicka. Analogiczne dla niej z tego okresu cyfry są: 188 tys. i 447 tys. Więc obecnie blisko pół miliona dzieci katolickich kształci się w szkołach wyznaniowych katolickich. Jest to procent bardzo wysoki, jeśli zważymy, że na 7 i pół miliona mieszkańców jest w Holandii katolików 35 proc.

DWA NIEBEZPIECZEŃSTWA.

Przed paroma miesiącami głośną była konwersja protestanta, Dr. H. Marchant, ministra oświaty, na katolicyzm. W ostatnich tygodniach wystąpił on z książką, w której m. in. daje wyraz swemu stanowisku w sprawie dwóch niebezpieczeństw dla religii i dla kultury, które zagrażają Holandii: komunizmu i narodowego (neopogańskiego) socjalizmu.

Podnosi „wojujące bezbożnictwo“ i antyreligijność komunizmu jako powody, które katolików skłaniają do twardej walki z komunizmem. Ale — pisze — „te same względy powinny nas odwieść od łączenia się z narodowym socjalizmem, nawet do walki z komunizmem. Byłoby to łączeniem się z diabłem w jednej postaci dla walki z diabłem w innej postaci. Podobnie i demokrata nie może łączyć się z bolszewizmem do walki z narodowym socjalizmem; demokrata będzie tu zawsze oszukany przez towarzysza. Chrześcijanin będzie walczył i z jednym i z drugim. Walka narodowego socjalizmu z komunizmem jest walką o hegemonię szatana w świecie. W tej walce obydwie strony szukają poparcia chrześcijan. Jeśliby chrześcijanie udzielili którejkolwiek z tych dwóch stron poparcia, przyczyniliby się w każdym wypadku do umocnienia sprawy szatana“.

Nasuwa się pytanie, czy słowa holenderskiego męża stanu nie zawierają przesady, czy istotnie można narodowy socjalizm uważać poprostu za „sprawę szatana“. Ale, choćby w tym powiedzeniu było nieco przesady (trudno nam w Polsce o tym wyrokować), nie ulega żadnej wątpliwości, że narodowy socjalizm nie darmo natchniony jest ideałami neopogaństwa, i że społeczeństwo przyszłości, które chce wychować w mistyce krwi i rasy, nie będzie chrześcijańskim społeczeństwem.

BOHATER WOLNOŚCI ARGENTYNY.

A teraz z Holandii przeniesiemy się do — Argentyny! W wieku samolotów i radia jest to niedaleko... W październiku święcono tam 100-lecie śmierci bohatera narodowego, którym był skromny zakonnik, Dominikanin, Ojciec Justo de Santa Maria de Oro.

W r. 1811. Chile zaczęło walkę o wyzwolenie. Wojskom powstańczym towarzyszył O. Justo. Pobite wycofały się do Argentyny, gdzie gen. San Martin także rozpoczął walkę z Hiszpanią. Płomienny kaznodzieja, jakim był Ojciec Justo, wywołał olbrzymi ruch patriotyczny w tym kraju. Powiedziano o nim, że on „wyzwolił“ Argentynę... Istotnie był nieustraszonym kapelanem armii powstańczej. Dzielił wszystkie jej klęski i jej zwycięstwa. Aż do ostatecznego wyzwolenia kraju.

W r. 1816. zebrała się konstytuanta wolnej Argentyny. Ojciec Justo jest posłem... Wówczas to po raz drugi „dał“ krajowi wolność. Konstytuantę bowiem uratował przed rozbiciem, na które czekali Hiszpanie. W r. 1830. Ojciec Justo został biskupem w Cuyo. W 6 lat później zmarł.

Przed paroma tygodniami Argentyna uczciła pamięć swego „bohatera wolności“.

Pejot.

Obyczaje władców

Powszechna opinia zdrowej prasy całego świata stwierdziła jednogłośnie, że kryzys na tronie angielskim nie był ani kryzysem społecznym, ani politycznym, ani konstytucyjnym, lecz kryzysem moralnym, który jeszcze raz jaskrawo potwierdził następujące prawdy, dotyczące sztuki rządzenia:

1. Od ludzi, którzy rządzą, od monarchów, prezydentów, ministrów mężów stanu wymaga się przykładnego i moralnego życia. Jeżeli takiego przykładu nie dają, jeżeli swoim prywatnym życiem podrywają zasady o nierozerwalności związków małżeńskich, o świętości ogniska domowego i jeżeli okazują lekkomyślność i lekceważenie dla mas rządzonych — tym samym podważają podstawy państwa, na czele którego stoją.

Zdrowa prasa całego świata osądziła surowo b. króla Edwarda VIII za jego lekkomyślne traktowanie spraw małżeńskich. Genewski „Le Courrier“ pisze: „Abdykacja króla była z góry przewidziana, gdy stało się jasnym, że czynniki decydujące o honorze Anglii i zdrowa opinia publiczna nie mogły już dłużej tolerować załamania praw moralnych, dotyczących trwałości rodziny, praw, na których opiera się cała wartość bytu państwowego“.

Opinia angielska stanęła w sprawie Edwarda VIII na tym stanowisku, że człowiek, nie będący w porządku w swym życiu prywatnym, nie może zajmować zwierzchniego stanowiska w państwie. W tym kształtowaniu opinii angielskiej — jak podkreśla wiele pism — stwierdza się poglądowo coraz większy wpływ nauki Kościoła katolickiego o nierozerwalności małżeństwa jako komórki życia narodowego i państwowego. W ogóle zauważyć można już od dłuższego czasu w umysłach angielskich spotęgowanie sympatii i zrozumienia dla katolicyzmu. Niemal połowa przyrostu katolickiego w Anglii rekrutuje się z konwertytów. Dzięki ruchowi odrodzeniowemu zapoczątkowanemu w ubiegłym stuleciu przez tak wybitnych mężów świątobliwych i uczonych, jak Manning, Newman i Faber — powrót społeczeństwa agielskiego do katolicyzmu wzmaga się po dziś dzień.

2. Drugi wniosek, jaki nasuwa kryzys tronu angielskiego jest następujący: Jeżeli zwierzchnicy państwowi lekceważą sobie uczucia religijne obywateli, jeżeli swe poglądy o „życiu ułatwionym“ afiszują — **mogą się w końcu grubo pomylić, licząc na swą popularność.** W taki właśnie sposób Edward VIII wyznawca „nowoczesności“ na tronie Anglii omylił się.

3. Człowiek, który chce rządzić, rozkazywać, który wymaga posłuchu mas rządzonych, nie może postępować w myśl osobistych zachcianek, ale winien podporządkować siebie i swe prywatne interesy dobru ogółu. Im człowiek wyższe piastuje stanowisko w państwie, tym większej wymaga się od niego ofiary i poświęcenia dla społeczeństwa. Podkreślił tę prawdę m. in. londyński „Times“, który bardzo surowo osądził postępowanie b. króla, pisząc: „Mamy prawo do przeświadczenia, że **instytucja państwa jest nieskończenie bardziej doniosła, aniżeli prywatne interesy** jakiejkolwiek jednostki i niezależnie od tego, jak dalece ta jednostka zyskała sobie przywiązanie ludności“.

4. Między zwierzchnikami państwa a jego obywatelami musi być wzajemna i szczera wymiana poglądów w sprawie dobra społecznego. Inaczej do życia zbiorowego wdziera się serwilizm, upodlenie, nieufność, strach i wzajemna nienawiść. Podkreślił tę zasadę w kryzysie angielskim premier Baldwin w Izbie Gmin: „Doradca korony — powiedział on — może tylko wtedy wyświadczyć naprawdę przysługę swemu władcy, **jeżeli powie mu całą prawdę,** tak, jak ją sam widzi, bez względu na to, czy prawda ta będzie dobrze przyjęta czy nie“.

„Lekcja angielska“ przypomniała dziś światu tę doświadczeniem wieków stwierdzoną prawdę, że moralność wyższa jest od polityki. Jeżeli zasada ta obowiązuje wszystkie społeczeństwa, to przede wszystkim Polskę, o której już mówił W. Dzieduszycki: „Powołaniem Polski jest orędownictwo moralności w życiu społecznym, wprowadzenie tej moralności w czyn, wprowadzenie do dziejów zasad chrześcijaństwa“ (por. W. Dzieduszycki, **Mesianizm polski a prawda dziejowa, str. 139).**

Z obcej niwy

Nasze powołanie

Francuski miesięcznik „Revue apologétique“ podaje w swym grudniowym numerze rozdział z przygotowanej do druku książki ks. Bessières'a p. t. „Jezus i dusza współczesna“. Rozdział, o którym mowa, dotyczy odpowiedzialności społecznej katolików. Podajemy z niego następujący wyjątek:

„Każdy chrześcijanin otrzymał powołanie na kierownika, t. j. na łowcę ludzi: Każdego z nas wiara dostatecznie uzbraja, by się mógł kusić o takie zdobycze. Sama już wiara, jeśli jest żywą, jest zaczynem i światłem. Jak z Chrystusa, tak z chrześcijanina wychodzi moc, siła przyciągająca. W oddaleniu dwudziestu wieków z trudem możemy zrozumieć tę siłę przyciągania, która Syna Cieśli wiąże z ludźmi, z natury swej nieufnymi, czyni z nich krzyżowców Jego sprawy, a później męczenników. „Gdyby prorok jakiś — pisze Papini — przyszedł do kupca ze słowami: zostaw twój interes i kasę, — do profesora: zstąp z twej katedry, — do ministra: zrezygnuj z twojej teki i z twoich kłamstw, — do robotnika: złóż twoje narzędzia, — do wieśniaka: pozostaw twój pług w bruździe, którąś rozorał, — do maszynisty: zatrzymaj twą maszynę i pójdź za mną, — do bogacza: rozdaj twoje dobra... gdyby jakiś prorok w ten sposób do nas dziś mówił, czy wielu poszłoby za nim?“

Tym czasem takie wezwania powtarzają się każdego dnia, w wielkiej liczbie, bez interwencji proroka. Są to gesty podejrzane, jeśli przywódca apeluje do tego, co w człowieku jest mierne i niskie. Prawdziwi przywódcy celują wyżej: do serca, do umysłu, i są tacy, którzy idą za nimi. Wiedzą ci przywódcy, ile w każdym człowieku jest niebiaństwa, ale ile i nędzy. Postanawiają odwołać się do źródeł naszej szlachetności, do drzemiącego w nas instynktu przewyższenia samych siebie. To drugie wezwanie trudniejsze jest od pierwszego, ale ono czyni wielkim tak żołnierza, jak i przywódcę.

Wnijdźmy do sali przy ul. Postes (w Paryżu), gdzie kapitan Albert de Mun w 1874 r. przemawiał do młodzieży, wśród której znajdował się przyszły marszałek Francji, Lyautey, wielka postać kolonialnego wodza. W trzy lata po „strasznym roku“ (1871), roku klęski, roku Komuny, młody przywódca przemawia do swych towarzyszy. Ton jego mowy nie ma nic demagogicznego; jest to braterska rozmowa, jakby Chrystusa z Janem i Andrzejem. De Mun mówi o konieczności zdobycia mas zrewoltowanych przeciw Bogu, ludziom i samym sobie: tych mas zgorzkniałych, które nazajutrz po przegranej Francji z Prusami i stracie dwóch prowincyj rażą granatami ze wzgórz Montmartree żołnierzy francuskich prawie na oczach najeźdźcy, — podstępnie rozstrzeliwują (maj 1871) w Roquette 75 zakładników, po zadaniu im wyrafinowanych tortur, później, jakby wojna nie dość jeszcze spowodowała ruin, łupią i palą publiczne budynki. Dalszym etapem, to represje ze strony wersalczyków. Przerażeni mordercy szukają schronienia w kościołach, których jeszcze nie zdążyli spalić i u kapłanów, których nie rozstrzelali. Straszne wizje. De Mun opowiada o tych tragicznych momentach: — kiedy wjeżdża na koniu, na jedną ze zdobytych ulic, sanitariusze, spotykający się z nim niosą rannego powstańca.

— Kto to? — pyta de Mun.

— Buntownik!

A ranny, który słyszał te słowa, podniósłszy do góry zakrwawioną pięść i kierując ją w stronę oficera jął krzyczeć:

— To wy jesteście buntownikami!

Mówiąc o tym do studentów, a może więcej do siebie, de Mun zapytuje: — Czy w tym okrzyku nie ma części prawdy? Czy my właściwie, którzy podtrzymujemy porządek, nie jesteśmy buntownikami? Buntownikami przeciw prawu samozaparcia i służenia bliźnim? Czyśmy oddali na służbę dobra nasze złoto, naszą kulturę, to wszystko, co czyniło nas przywódcami? Jaki to przykład daliśmy tym tłumom, którym głosiliśmy potrzebę ofiary i miłości? Gdzie są nasze działa? Lud ten był dobrym i pragnął darzyć nas miłością; po jakich to znakach mógł widzieć, że my go kochamy? Rozczarowana miłość stała się nienawiścią; nasz egoizm oddał go na łup demagogicznych prowodyrów. „Siła nic nie tworzy... Jak ci ludzie nas nie znają! Jak my ich nie znamy“ — powtarzamy sobie. Trzeba nam pozyskać z powrotem ten lud nie dla nas, ale dla niego samego i dla Boga. I de Mun rozwija przed młodymi przyjaciółmi plan zdobywczy, z którego wypłyną później koła robotnicze i związki katolickiej młodzieży. Milknie, ale serca są zdobyte.

„Niezapomniana to godzina“ — notuje w swej pamięci Lyautey. Od niej datuje się nasze „społeczne powołanie“, o tej godzinie nie zapomni już nigdy wielki marszałek. Ona sprawiła, że życie jego stało się służbą. Inni czerpać w niej będą natchnienie, w fabrykach, w organizacjach, w polityce. Małe ziarnko stanie się z czasem polem zboża. Czemuż to przypisać?

Ktoś powie: „De Mun był wymownym!“ Zaiste, ale prawdziwą wymową jest tylko życie chrześcijańskie. Przeczytajcie żywot młodego robotnika, Karola Bouchard'a. Dziecko bruku, wyrosłe w zaułkach Montmartru... Przez jakiś czas w zakładzie wychowawczym, parę miesięcy w szkole, później znów na ulicy. Przechodzi przez różne zawody, różne środowiska, także najgorsze. To go przygotowuje albo do szpitala albo do ciężkiego więzienia. Kończy na szpitalu w Belgii. Zawiązuje się rozmowa, która przed straceńcem otwiera nowy świat: czystość, miłość i pokój! Ulicznik jest pokonany. Jak św. Jan „syn grzmotu“, myśli jakby świat nawrócić siłą swoich pięści. Później, kiedy dusza jego staje się subtelniejszą przez modlitwę i cierpienie, w miłości widzi wielkie narzędzie zdobywania. I jego sieć wypełnia się, chociaż już więcej nie opuści łóżka szpitalnego; umrze mając 22 lat. Koniec tego życia rzuca tak silne światło, jak pochodnia zapalona na wodach przez rybaków, przy zapadającej nocy, że sieć się wypełniać będzie, kiedy mu ramiona już zastygną. Wymowa to? Jakiż to Bossuet wydobył ze swej duszy głos, który by zdolny był zrównoważyć słowa umierającego ulicznika: „Umieram szczęśliwy... umieram w pokoju. Życie moje oddaję za wszystkich towarzyszy pracy, za wszystkich, którzy znajdą się na złej drodze życia. Smutno mi, że tylko życie moje mam do oddania. Gdybym więcej miał, więcej bym dał“.

De Mun, Bouchard, dwa epizody z olbrzymiego fresku: „orszak łowców ludzi“.